



maciej
byleczyński

Wygnańcy Ewy

maciej
bylczyński

Wygnańcy Elwy

inne historie osiedlowe

© Copyright by
Maciej Bylczyński & e-bookowo
Fotografia na okładce: Agnieszka Raczyńska
Projekt okładki: Maciej Bylczyński

ISBN 978-83-7859-656-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

Jedynie to, co jest całkowicie utracone domaga się nieskończonego nazywania, maniakalnego wołania o rzecz utraconą...

Günter Grass

*Nikt innego życia nie traci nad to, którym żyje
a innym nie żyje, jak tym, które traci.*

Marek Aureliusz
Rozmyślenia, II ; 14

*Każdy człowiek zmieniający swoje gry
musi się liczyć z odrzuceniem.*

Eric Berne

Wygnańcy Ewy

Antoni Grabarz „Chryzantemy”

Szła do domu. Tak szybko jak potrafiła. Na ile pozwalał jej na to nieprzyjemny, wilgotny od deszczu wiatr. I kałuże, rozlewające się na nierównościach chodnika. Jak wezbrane fale Morza Czerwonego. Do tego jeszcze to biodro. Odzywało się natychmiast, jak tylko przychodziły chłody. I nie pozwalało już o sobie zapomnieć. To przez nie teraz utykała, kolebiąc się pomiędzy kałużami. Mżyło. Ale nie chciała otwierać parasolki. Bała się o jej druty. Że połamia się do reszty na tym wietrzysku. Wysłużone jak ich emerytowana właścicielka.

Szła do domu. Nie było więc właściwie powodu, by się śpieszyć. Złe nowiny nigdy nie dodają skrzydeł. A z jej sercem znowu nie było dobrze. Tak powiedziała lekarka pochylona w zadumie nad arkusikami ostatnich wyników badań. Nerwica serca. Arytmia. Spokój. Dystans do siebie i życia. Trochę optymizmu na co dzień. I recepty. Nowe wydatki. Bo za co ma wykupić te nowe leki, skoro dopiero siedemnasty, a po jej emeryturze zostało już wspomnienie? I jak tu się nie przejmować? Jak zachować zalecany spokój i pogodę ducha? Najwyżej znowu nie wykupi wszystkiego. A sanatorium? Dobrze jej mówić, lekareczce. Wypoczęłaby, pewnie że by wypoczęła, ale jakim kosztem? Zresztą: nie, wcale by nie wypoczęła. Przecież martwiłaby się o niego. Że został tu sam. Bez pieniędzy.

Zamartwiałyby się. A zresztą: czy by ją puścił w ogóle? Pewnie wcale nie. Lekarka też pytała o niego. Ale co tu o nim mówić? No co? Nowego co? Przecież się nic nie zmienia. Nie może się zmienić. Póki on nie znajdzie pracy wreszcie. Nie zajmie się czymś. Nie zacznie zarabiać. A nie zaczyna. Chodzi, pyta, to prawda. Stara się gdzieś zaczepić. Ale żeby przyjęli? Choćby i na kasę do hipermarketu. Do magazynu. Przecież mógłby. Poradziłby sobie. Że konfliktowy? Że nerwowy jest? Bo czasy takie. Nerwowe. Kto dziś nie nerwowy? Jak nie ma pracy. Teraz też się denerwuje. Dobrze o tym wiedziała. Tą receptą. Nowymi wydatkami. Zaraz na nią narzeczy. Że do innej lekarki mogła iść. Albo wcale. Bo jak człowiek po lekarzach chodzi, to tylko sobie chorobę jakąś wychodzi. Chory jest i biedny. I tak jest biedny, a jak się chce leczyć, to już w ogóle – całkiem pieniędzy nie ma. Do dupy z tym, powie.

Dlatego nie chciała się śpieszyć. Mimo deszczu. Im później to usłyszy, tym lepiej. Dla niej. Może teraz na piwo poszedł? Stoi pod spożywczakiem. Byle mu znowu mandatu nie wlepili. Za picie piwa. Wróci do domu i schowa recepty. Na razie. Po co tak od wejścia pokazywać? Pokaże jutro. Albo po obiedzie. A na obiad co? Kasza jest jeszcze. Zrobi z jajkiem sadzonym. Byle by coś zjeść. Byle by tylko zdrowie było. To jakoś będzie. Jutro coś wymyśli, myślała wchodząc ciężko po schodach. Znowu pomazali. Dzieciary. Brudno na tej klatce schodowej. Naplute. Nikt tu nie sprząta. Nie dbają, bo niczyje. Zupełny brak poszanowania. Szacunku. Do pracy. Ludzi. Byle by tylko nie myślał znowu o Grabarzu. Na to mu nie pozwoli. Tego obrazu nie sprzeda, choćby nie wiadomo jak było. Obiecała to sobie kiedyś. I słowa dotrzyma. Sobie. Musi stać na straży tych resztek. Tego, co uchowała po babce. Po lepszych czasach. Innych. Zamożnych. Jej babcia lubiła otaczać się pięknymi rzeczami. Tak się kiedyś żyło. Wesoło, między ludźmi. Bez troski o codzienność. Bezboleśnie. Babcia była lubiana. Bywała w tak zwanym towarzystwie. Na premierach w teatrze. Operze. Na proszonych rautach. U półkownikostwa Iłowieckich, u starosty Jabłczyńskiego, pra-

łata Faciąga... Malował ją Grabarz. I młody Mokronowski... Ten z Wrocławia. Syn adwokata. Pozowała chętnie. Bo była ładna. Pomimo nosa. Nos miała jakby za duży do owalu twarzy. Jakby zbyt wysoko nasadzony pod wąskimi ustami. Ale te oczy... Hipnotyzowały malarzy. Nie mogli się od nich oderwać. Babcia. To jej siła charakteru pozwoliła na zbudowanie świata, w który opływała jej jedyna wnuczka. Ale to było kiedyś. A teraz jest... teraz. Teraz są sami. Tylko we dwoje. I muszą umieć sobie poradzić.

Jeszcze przyjdą lepsze czasy. Byle by on niczego już nie sprzedawał. Byle by zaczął w końcu pracować. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Duże, smutne oczy rozjaśniła na chwilę iskra nadziei. Musi pracować. Wiedziała przecież, że ma swoje potrzeby. Ona już nie. Bo co jej jeszcze potrzebne? W tym wieku. Na stare lata tylko spokój jest ważny. Co innego on. Ledwie po czterdziestce. Musi się ubrać. Musi jakoś wyglądać. Nie jak dziad ostatni. W ogóle mężczyzna pieniądze powinien mieć. Inaczej baby nie znajdzie. Żadna nie spojrzy na takiego golca. Wiecznie przy mamusi. Spódnicy uczepionego. Ale jeszcze wszystko się może zmienić na lepsze. Kurtkę mu musi kupić jaką nową. Bo w tamtej już wstyd się ludziom pokazać. A sąsiedzi strzępią języki. Śmieją się w żywe oczy. Pani profesor od szmat, mówią. Jakby mało zmarwień miała. Sama jest. Wdowa. Z pólsierotą na utrzymaniu. Na głodowej emeryturze. A wszystko drogie. Drożyzna taka. Kiedyś łatwiej się żyło. Że po prośbie chodzi czasem? To taki wstyd? Że pożycza na chleb? Nie kradnie przecież. Woli pożyczyć, niż by miała coś sprzedać z domu. Jak by tak jemu pozwoliła, to by gołe ściany mieli. Wszystko by wyniósł z domu. Dlatego musi stać na straży tego, co jeszcze jest. Co zostało. Na straży.

Zrobi szybko obiad, bo musi jeszcze dziś wyjść. Do lombardu. Zostawiła tam kiedyś kilka złotych krzyżyków. Pamiątkowych. Ładnych, z grubego złota, cygańskiego. Ale jak ma teraz wykupić – nie wie. Za co? Więc pozwala tej pijawce spijać jej krwawicę. Skubać ją z ostatnich groszy. Dziś też mija termin wykupu. Kolejny

już. Pani Renata nawet nie chce liczyć, który to już raz przedłuża swój zastaw. Byle tylko nie poszedł w obce ręce. Do byle kogo. Kiedyś go wykupi, myśli. A na razie trzeba na kolejny miesiąc.

Kasza już doszła. Już wytajała. Można iść. Po drodze wstąpi do sklepu. Może dadzą co na zeszyt. A jak nie, to może spotka na ulicy jakiegoś sąsiada. Sąsiadkę nie. Mężczyźni są lepsi od kobiet. Pani Renata nie ma sąsiadek. Mężczyźni są wyrozumiali. Na przykład ten, co wyprowadza tego wielkiego psa na spacer. Z początku to się go bała. Tego psa. Boi się dużych psów. Pozostałość z lat okupacji. Z Warszawy. Niemcy szczuli małe dzieci wilczurami. Ale sąsiad uspokajał. Niech się nie boi. Nie ma czego. Nie ugryzie. Krzywdy nie zrobi. Duży jest, ale serce ma jak na dłoni. Dobroć na pysku zdradzoną. Sąsiad też. To znaczy – też jest dobrym człowiekiem. Zrozumie bliźniego. Poratuje w potrzebie. Zainteresuje się. Dzisiaj ludzie się nie interesują. Znieczulica panuje. Pan z psem też jest na emeryturze. Ale nie tak jak pani Renata – na nauczycielskiej, ale na porządnej – mundurowej. Niewiele mówi o sobie. Ludzie nie lubią się otwierać. Za to inni gadają. Że w ZOMO był. Pani Renata nie słucha tego gadania. Ludzie to świnię. Podłość ludzka nie zna granic. Co kto może wiedzieć, pamiętać z tamtych czasów? Ona swoje wie. Tylko Radek niepotrzebnie mu paplał, że mają w domu stary rewolwer. Taki mały, śmieszny, jakby do kobiecej ręki. Pamiątka po dziadku – legioniście. I teraz pan od psa się dopytuje. Czy sprzedadzą, za ile... Wierci jej dziurę w brzuchu. Ale i tak jest w porządku. W przeciwieństwie do jego żony. Jej to pani Renata unika. Po co narażać się na nieprzyjemności. Na docinki. Uśmieszki. Jadowity babsztyl. Jak pan od psa z nią wytrzyma? Jak to się ludzie dziwnie dobierają na tym świecie. Widać tak już musi być. Pani Renata też nie miała łatwego życia z mężem. Świeć panie nad jego duszą. Świeć... Choć daleko mu było do ideału. Był wufistą w liceum zawodowym. Ciężko się z nim żyło, bo charakter miał niełatwy. Radek ma to po nim – nadpobudliwość.

Furiat jeden. I egocentryk. Tylko uczniowie go lubili. Daw-

niej to inna młodzież była. Na oazy jeździła. Aldek też jeździł. Na obozy sportowe. Na Mazury. Pasym. Rudziska pasymskie. Gdzieś tam... W partii oczywiście nie był. Gdzie by ona z partyjnym żyła. Ale był zdeklarowanym ateistą. Tak mówił. Wymądrzał się znajomością Marksa, Engelsa, socjalistów francuskich. Chociaż jak kościół na osiedlu budowali, w osiemdziesiątym pierwszym albo drugim, to poszedł. Proboszcz się potem odwdzięczał indykami z darów. Z Holandii. I makaronem ze Stanów. Bo w sklepach nie było czterojajecznego. Dobre były te indyki. A raz, jak na obóz pojechał i dyrekcja młodzieży do kościoła na mszę nie puściła, to sam poszedł. Jako jedyny z nauczycieli. Potem go na dywanik wzięli i wydalili z obozu. A może sam chciał wyjechać? Trzasnął im pewnie drzwiami przed nosem, jak to on. Za to go młodzież szanowała. Za charakter. Odprowadzała go wtedy na dworzec jak nie przymierzając – Paderewskiego jakiegoś. Takie były czasy. A zginął podle. Taki młody był. Mógł jeszcze żyć. Tyle chciał zrobić. Planował. Człowiek planuje a diabeł ogonem zamiata. I Radka musztrował. Trzymał krótko. Może za krótko? Ćwiczenia mu wymyślał. Sprawnościowe. Biegi po lesie. Chciał, by do szkoły sportowej szedł. A Radek nie. Ale gdyby żył, to by z Radka co wyrosło lepszego może? Teraz to tylko piwo pod sklepem umie pić. Mówi, że jest ofiarą zmiany ustrojowej. Choroby rozstrojowej. Już od dwudziestu lat tak mówi. Starej matce w głowie mąci. Szacunku nie ma. Gdyby Aldek żył, to by chociaż to doprowadził do końca. Powiedziałby mu do słuchu. Ale się utopił. Głupio zginął. Jak się może sportowiec utopić? Ale podobno pił wtedy. Z kolegami, koleżankami. Z klubu. Niewiele jej chcieli powiedzieć. Jakieś plotki chodziły, że... No tak, kobietom to on się podobał. Przystojny nawet, wysportowany. Leciały na niego. W domu nie usiedziało. Ciągle do klubu tylko, do klubu. W domu to człowiek umiera, mówił. A tu się okazuje, że i poza domem można. Jak śmierć chce, to znajdzie.

Ale czy romans miał? Kto to dziś wie. Ludzie świństwa gadają. Jeden drugiemu świnie podkłada. Że ponoć gdzieś go widzieli. Że

gdzieś z kimś tańczył. Bzdury jakieś. Przecież on tańczyć nie lubił. Nie umiał nawet. Zawsze tak mówił.

Za szybko odszedł. Może by Radka dopilnował? Może by się chłopak ożenił? Miałby synka czy córeczkę. Miałaby pani Renata komu zostawić i rewolwer, i książki kurzem pokryte, i stare, naklejane na francuskie kartoniki, fotografie. A tak, to co? Chciałaby mieć pani Renata wnuka, a pewnie. Poczula by nowe siły w sobie. Było by dla kogo żyć. Starać się. Z ust syna i tak słowa podzięki nie uświadczysz. Ciągłe źle i źle. Cały świat obwinia za swoje nijakie życie. A najbardziej to matkę. Co ona mu takiego zrobiła? Zabraniała mu się uczyć? Nakazywała co? Sam się rządził swoim życiem. Zabronił się jej wtrącać. To teraz ma, jak chciał.

Mówiła mu – ucz się. Zrób chociaż maturę. To nie. Bo po co mu szkoła. Do niczego nie potrzebna. Z liceum go wyrzucili, bo repetował dwa razy drugą klasę. Poszedł do pracy, na fizycznego, potem do wojska. Silny był, wysportowany, mógł już tam zostać. A gdy zrzucił mundur, to właśnie w Stolicy obalono pomnik Lenina. Nowa Polska. I nowe problemy. Kto mógł wtedy przypuszczać, że tak trudno będzie o pracę. Wcześniej była dla każdego. No, to teraz nie ma jej dla nikogo. Chyba, że po znajomości. Miałby pracę. Jakiś kolega mu ją miał naraić. Ale trzeba dać w łapę. I to nie byle co, bo aż pięć tysięcy złotych. I skąd to wziąć? A syn jej mówi – daj mi mamó, no daj. Ale czy by się tam w ogóle utrzymał? Z jego charakterkiem. Nerwowy, konfliktowy. Do tego odwykły od roboty jakiegokolwiek. A to praca nie lekka. W dużym hotelu. Jako pomocnik przy kuchni. Przy kotle to praca dobra. Głodny by nie chodził. Ale skąd wziąć te pięć tysięcy? Kuzynka z Warszawy mogłaby pomóc. Ale nie pomoże. Bogolka jedna. Biedy nie zna. Nie rozumie. Wielka pani prezes. Dziś ludzie nie są rodzinni, o nie. Patrzą tylko na swoje. Dalej niż czubek własnego nosa już nie. Kiedyś, to rodzina sobie pomagała. Świętej pamięci stryjek Zygmunt potrafił wesprzeć, i to nie tylko radą, dobrym słowem.

Pisała przecież listy po prośbie nie raz. I do kuzynów, i do daw-

nych koleżanek z pracy, z uczelni. Wulgarny świat. Zapatrzony w siebie. Kuzyn to swemu wnukowi wyjazdu do Kanady funduje. Stać go. Stać i na to, by biedną emerytkę poratować. Ale po co mu taki balast? Woli nie odbierać telefonów. Już nie odbiera. Od kiedy go Radek od najgorszych zwymyślał. Gorycz się w nim przełała. Że ojciec chrzestny nie jest ojcem. Że się nie interesuje. Że sam pierwszy nigdy nie zadzwoni. Nawet na święta nie pamięta. A mógłby poratować. Na Kanarach wakacje spędza. Rokrocznie. Ze swoją młodą żoną. Tą drugą, bo pierwsza już na Rakowicach. Nawet na pogrzeb pani Renata nie pojechała. Bo i po co się denerwować? Patrzyć na ten przepych, na te piękne samochody, na uginające się od wszelkiego dostatku stoły... Tylko by potem spać nie mogła. Odchorowałaby to. Uboga krewna. Tak ją traktują. Bogole. A Bóg patrzy i nic. Pozwala. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Może chociaż w niebie będzie? Gdyby pani Renata miała wnuczka, też by to inaczej było... Pociecha by była jakaś. Radość w domu. I wyręka na stare lata. Pomógł by babci.

Radek też jak był mały, był inny. Lepszy. Wrażliwe dziecko. Tę wrażliwość to ojciec z niego wybił. Denerwowała go. Że takie nie-męskie. Trzymał go krótko. Ale jak zmarł, to i tak na nic, bo Radek poczuł wiatr w skrzydłach. I to on chciał być ojcem w domu. Mężczyzną. Ale nic tak od razu się nie dzieje. Zamiast mężczyzną – został sfrustrowanym chłopcem. Dużym dzieckiem. A taki uparty, jak ojciec. Musi na swoim postawić. Jego musi być ostatnie słowo.

Pani Renata wracała powoli do domu. Nie śpieszyła się, bo i po co? Precjoza w lombardzie były wprawdzie bezpieczne na najbliższy miesiąc, ale młoda Walczakowa z warzywniaka nie chciała dać na zeszyt. Choćby i kilograma ziemniaków. Nie było starej. Ta by dała. Ale synowa to już nie. Z innej gliny widać leponia. Tacy są teraz ci młodzi. Wyrachowani. Samolubni. Człowiek poniża się przed taką fładrą, a ta nic. Jeszcze ma z tego satysfakcję. Wielka sklepowa. Ważniara ze średnim wykształceniem. Niepełnym

pewnie. Tylko chłopaków sobie na zaplecze sprowadza. Wszyscy wiedzą. Ale ona sobie nic z tego nie robi, lafirynda jedna. Ciekawe co mąż na to?

Szła do domu. Nie było więc powodu by się śpieszyć. Radek już pewnie wrócił i zjadł kaszę, którą mu zostawiła na kuchence. Powoli pokonywała kolejne stopnie schodów. Na szczęście nie mieszkali wysoko. Na drugim piętrze. Ale dla niej i tak wystarczy, by czuć się zmęczoną. Kto to widział, tak wysoko mieszkać. Serce. Biedne, chore serce matki. Starej kobiety. Nie chciało już pracować jak kiedyś. Teraz biło nierówno, jakby z przypadku. Jakby od niechcenia.

Pani Renata otworzyła powoli drzwi od mieszkania. Weszła do pokoju. Nad tapczanem, tam gdzie zawsze wisiały piękne „Chryzantemy”, teraz rzucało się w oczy brudne przebarwienie po ramie. Sprzedał Grabarza!

Pani Renata załamała rękę.

Spis rzeczy:

Wygnańcy Ewy	5
Antoni Grabarz „Chryzantemy”	5
„Kwiatki świętego Franciszka”	13
Ojca cień	26
Na „Zapiecku”	35
Losing my religion	41
Manfred – grabarz	56
Punk not dead	69
Święty Dyro	84
Top Claudia	98
Wanna Epsteina	104
Luiza grzechu warta	110
Big Water	118
Historie osiedlowe	126
NIE CZAS	126
Żona zaraz przyjdzie	163
Na wsi	186
I Koncert skrzypcowy	195
I Koncert skrzypcowy (<i>Audienta et altera pars</i>)	226